

HISTORIA



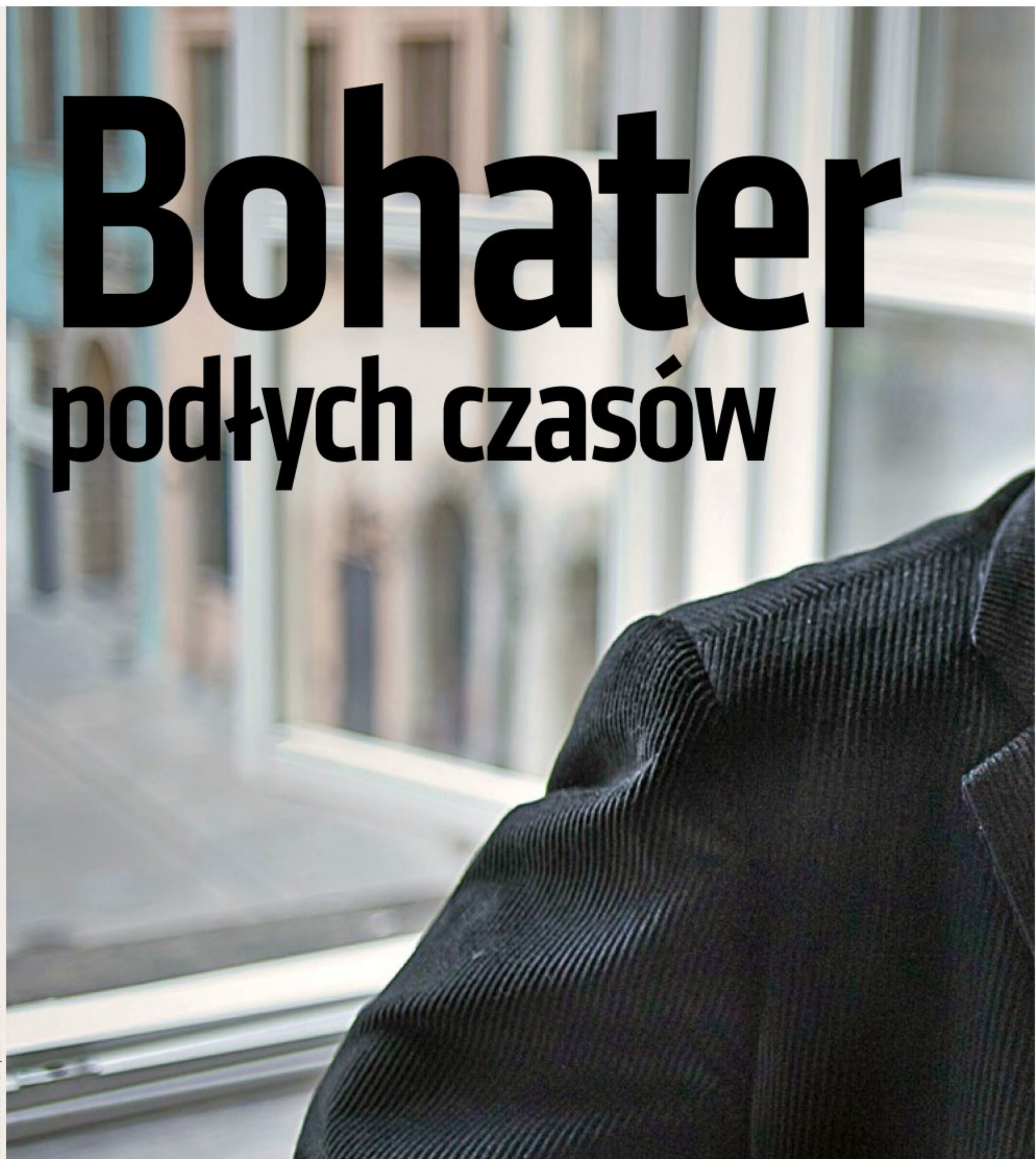
Krzysztof Masłoń

Fakty z życia człowieka bez sumienia

Wtekście pośmiertnym „New York Times” nazwał go „zjadłym komunistą, który stał się bohaterem wolności słowa” i „człowiekiem, którego Polacy kochali nienawidzić”. Jedno i drugie to nieprawda; komunistą, przynajmniej formalnie, nie był, a do PZPR, mimo ponawianych prób, nie chciano go przyjmować. Sławę zdobył w czasach, w których o wolności słowa Polacy mogli jedynie marzyć, on zaś skwapliwie to wykorzystywał. Nie kochano go nienawidzić, ale nienawidzono, i to z całej mocy. Tyle że ograniczano się do lżenia go na rozmaite sposoby, a obelgi – co zauważył Marek Nowakowski w powstałych w 1985 r. „Kamieniołomach” – „... tylko rajcują Urbana. Uwielbia gniew i obrzydzenie na swój temat. Traktuje jako cenne dowody popularności”. Do czasu – pisał Nowakowski – „sprawiał wrażenie sceptycznego libertyna bez ambicji udziału w rządzeniu. Tymczasem jego ostatnia kreacja rzecznika prasowego rządu wyraźnie odpowiada mu najbardziej. Rozkwitł wszystkimi kolorami. Istny paw. Jest w nim coś ze sprzedajnych pismaków epoki stanisławowskiej. Podobny do takich osobistości, jak Kalasanty Szaniawski – jakobin, później ruski cenzor w Kongresówce, czy Jacek Jezierski – osławiony kasztelan z Łukowa, radykał i pamflecista, wreszcie targowiczanie. Była taka tradycja. Urban w jej ciągu. Uznał, że czasy generałów to światły absolutyzm, i myśli o sobie jak Wolter przy pruskim Fryderyku. Kto go tam wie. Pychy i próżności wiele w tej baryłce”.

W „Nowej Wsi”, w której rozpoczynał dziennikarską karierę, nazywano go „Brzusem”, dla podwładnych w „Nie” był „Tatusiem”, naród nazywał go „Uszatkiem”. Albo po prostu „ch..em”.

Przeżył 89 lat. Zmarł 3 października zeszłego roku; dokładnie w rocznicę śmierci zmarła jego trzecia z kolei żona, Małgorzata Daniszewska. Śmierć małżonka skwitowała w „Nie” zdaniem:



FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Bohater podłych czasów

„Łysy walnął w kalendarz”. Teraz walnęła i ona, co skwapliwie odnotowały media, przy okazji odmładzając ją o cztery lata. W rzeczywistości ta trzecia żona Urbana młodsza była od niego o 18 lat. Pobrali się na Mazurach w czerwcu 1985 r. On – dwukrotny rozwodnik, miał 52 lata, ona – raz rozwiedziona, lat 34. Mieli po jednej córce.

Fakty z życia tego człowieka bez sumienia czy – jak sam o sobie mawiał – z sumieniem idealnie czystym, bo nieużywanym, porządkuje wydana właśnie przez uważaną niegdyś za bogobojną oficynę Znak biografia „Urban” Doroty Karaś i Marka Sterlingowa. Ponad 600-stronicowa.

INFANTYLNÝ TROLL

Długimi latami przekonywał, że piewcą stanu wojennego stał się na skutek nagłej, wielkiej i niepohamowanej miłości do gen. Jaruzelskiego. Teraz zebrane zostały dowody, że było to uczucie odwzajemnione. I to jeszcze jak!

„Czy pan wie, kim są dwaj najodważniejsi ludzie, jakich spotkałem w życiu? Mówię o tym z pewnym zażenowaniem, jako że żaden z nich nie jest wojskowym. Jeden to Michnik – wreszcie zrozumiałem, co to za człowiek – a tym drugim, co może pana zdziwić, jest Jerzy Urban” – mówi Jaruzelski Lawrence’owi Weschlerowi. Dziennikarz „New Yorkera” w 1995 r. opisuje sylwetkę Urbana dla prestiżowego amerykańskiego magazynu. W „Urban Blight” były rzecznik jest przedstawiony jako postać niezwykła, wręcz magiczna. Parę lat później Weschler dołączył tekst do książki o znaczących osobach żydowskiego pochodzenia z Europy Środkowej. Urban znajdzie się tam m.in. obok reżysera Romana Polańskiego i rysownika Arta Spiegelmana (twórcy komiksu „Maus”). Tytuł „Urban Blight” zostanie przetłumaczony na polski jako „Troll”.

On sam o swoim żydostwie mówił z dystansem: „Czuje się bardziej Polakiem niż Żydem. Często nawiązuję do swojego pochodzenia, ale traktuję to



z ironią". Gdy przypominano, że w 1956 r. oskarżano go o antysemityzm, prostował: „Raczej antyizraelskość. Mnie się ten kraj nie podobał. Arabowie byli w nim prześladowani. ONZ nazwał go wówczas krajem rasistowskim”. Utrzymywał też, że „prześladowania Żydów w 1968 roku nie były takie straszne. Wyjazdy? Utrata intratnych posad to nie powód, żeby przestać się czuć Polakiem albo przestać wierzyć w ideały”. Nie precyzował, o jakie ideały mu chodziło.

Nie uważał się za dziecko Holokaustu, choć gdyby jego rodzicom nie udało się w 1939 r. zmienić okupacji niemieckiej na sowiecką i przedostać się z Łodzi do Lwowa, trafiliby pewnie do getta, a tam niemający jeszcze w 1942 r. 10 lat chłopiec nie przeżyłby zapewne akcji nazwanej „Wielka Szpera”, w której straciły życie żydowskie dzieci mające mniej niż właśnie 10 lat.

Najczęściej grywał trefnisią, uważając, że w błazeńskiej czapce mu do twarzy, ale zdarzyło się – w książce „Jerzy Urban

o swoim życiu rozmawia z Marią Stremecką” (2013) – zaprezentować „swoją refleksyjną oraz inteligentną stronę”. Przyznaje się tam – czytamy teraz – „do podziwu dla filozofa Zygmunta Baumana, tłumaczy się z wrogości wobec wszelkiego nacjonalizmu (zalicza do niego syjonizm i polski patriotyzm), podkreśla więc z dyskryminowanymi (gejami, czarnymi, imigrantami). Przyznaje, że wrażenie zrobiła na nim książka Jana T. Grossa »Śąsiedzi«, opisująca pogrom Żydów w Jedwabnem, którego sprawcami byli Polacy. O mordach słyszał wcześniej, ale nowością dla niego był ostracyzm wobec Polaków, którzy Żydów ratowali.

Dochodzi też do wniosku, że jego własna pamięć z czasów okupacji jest infantylna. Zmuszony przez Stremecką określa swoją tożsamość: jest Polakiem żydowskiego pochodzenia. Ma też poczucie podwójnego wstydu, bo nacjonalizm jest właściwością i Żydów, i Polaków”.

Wstydzić powinien się za milion innych rzeczy, a swoje poglądy pro- i antyżydow-

skie zmieniał w zależności od koniunktury. Po „Szoah” Claude’a Lanzmanna grzmiał przeciw temu filmowi, doprowadzając zresztą do emisji jego fragmentów w Telewizji Polskiej. Niebawem jednak pogodził się z wymową „Szoah”, podzielał twierdzenie Lanzmanna, że „za antysemityzm Polaków odpowiada Kościół”. Bezbożnictwo Urbana było zresztą wyjątkowe i raziło nawet pomniejszych nieprzyjaciół Kościoła. Z tym większą satysfakcją po nagłośnionych przypadkach księży pedofilów pisał: „W latach 90. »Gazeta Wyborcza« oskarżała »Nie« o zoologiczny antyklerykalizm. Teraz wprowadziła się do sąsiedniej klatki”. I rzeczywiście.

ZŁOŚLIWY ŻÓŁTODZIÓB

W jakiejś mierze był samoukiem czy wręcz niedoukiem. Jeśli mu wierzyć, to maturę zdał dzięki przynoszonym przez matkę nauczycielom jedwabnym krawatom, chusteczkom i pończochom, które przysyłał kuzyn z Mediolanu, a na studia dziennikarskie, których ostatecznie nie ukończył, dostał się dzięki wsparciu ojca.

Języków obcych nie znał, dopiero na stare lata zaczął dukać po angielsku. Swoją drogą ciekawe, kto streszczał mu filmy oglądane na festiwalach, na które wysyłała go „Polityka”. Ale też z takiego Nowego Jorku przysłał tekst ciekawszy niż stali korespondenci, rezydujący w Stanach od lat. No cóż, był inteligentny, co przyznawali nawet jego wrogowie, a cóż dopiero przyjaciele.

Maria Lewińska, pisząca po polsku pisarka izraelska, która z kraju wyjechała w 1958 r., na temat Urbana wręcz piała, twierdząc, że nie znała człowieka bardziej błyskotliwego. A była jego koleżanką z uniwersytetu, na który jednak zaglądał sporadycznie, zajęty pracą dziennikarską w „Nowej Wsi”. Redaktor naczelna pisma, Irena Rybczyńska, matka Agnieszki Holland, tak go wspominała: „To był przystojny, trochę nieśmiały [sic! – przyp. K.M.] chłopiec. Przyszedł z opinią utalentowanego, nieco niesfornego żółtodzioba. Ale był zabawny, wesoły, egzotyczny – coś nowego, bo całkiem wolny od piętna Holokaustu, jak się wydawało. Byli w redakcji inni Żydzi, starsi, posępni, ale Jerzy był zupełnie inny. Lubiano go, ale potrafił być

■ złośliwy, boleśnie ranić i po prostu nie wiedział, kiedy przestać”.

Nawiasem mówiąc, Agnieszka Holland jeden ze swoich pierwszych filmów, nowelę ze zbiorowego dzieła „Obrazki z życia” (1975), zrealizowała właśnie na podstawie jego felietonu „Dziewczyna i »Akwarius«”. Inne nowele, reżyserowane m.in. przez Jerzego Domaradzkiego, Feliksa Falka i Barbarę Sass-Zdort, też miały pierwowzory w postaci bardzo popularnych wtedy tekstów publikowanych w „Kulisach”, a podpisanych przez Urbana pseudonimem Jerzy Kibic.

Pisał też Urban scenariusze do kompletnie i słusznie zapomnianych filmów Juliana Dziedziny z 1968 r. „Ortalionowy dziadek” (krótkometrażowego) i „Otello z M-2”. Był jeszcze „Sekret” Romana Załuskiego (1973). Rzekomo nie chciał pisać dla Barei, gdyż nie odpowiadało mu jego poczucie humoru. Tak przynajmniej twierdził.

W 1955 r. postawił krok niezwykle ważny w jego drodze zawodowej, przechodząc z „Nowej Wsi” do „Po Prostu”. Gdy po zamknięciu przez Gomułkę niepokornego tygodnika szef Biura Prasy KC Artur Starewicz wydał Urbanowi zakaz pracy, z pomocą pospieszył Leszek Kołakowski, radząc: „Idź na studia. Dam ci rekomendację na stypendium w Oxfordzie”. Ale uczyć się, i to angielskiego, po co? Podziękował. Niebawem zaczął pisać w „Kulisach” relacje z procesów sądowych. Tak narodził się Jerzy Kibic.

W „Polityce” pod nazwiskiem zadebiutuje w 1961 r. Wcześniej gościł na łamach pisma Rakowskiego jako Jan Rem. Po latach powróci z tą żurnalistyczną ksywą do innych tytułów, że wspomnę tylko „Tu i Teraz”.

Na nienawiść zapracował sobie w gorącym czasie po sierpniu 1980 r., wcześniej funkcjonował jako czołowe pióro „Polityki” uznawanej za pismo z lekka krytyczne wobec władzy. Właściwa opozycja dopiero się kształtuje; po wydarzeniach czerwca roku 1976 powstaje Komitet Obrony Robotników. „KOR – czytamy w książce Doroty Karaś i Marka Sterlingowa – zakładają warszawscy inteligeni, uważni czytelnicy »Polityki«. Są wśród nich znajomi Urbana: z Jerzym Andrzejewskim łączy go żona [druga – przyp. K.M.], Adamowi Michnikowi pomagał w publikowaniu

tekstów, gdy ten był bez pracy, z Janem Józefem Lipskim spotykał się w redakcji »Po Prostu« (Urban nadal uważa, że Lipski podstępnie wrobił go w podpisanie politycznie zabarwionych kondolencji po profesorze Stanisławie Ossowskim).

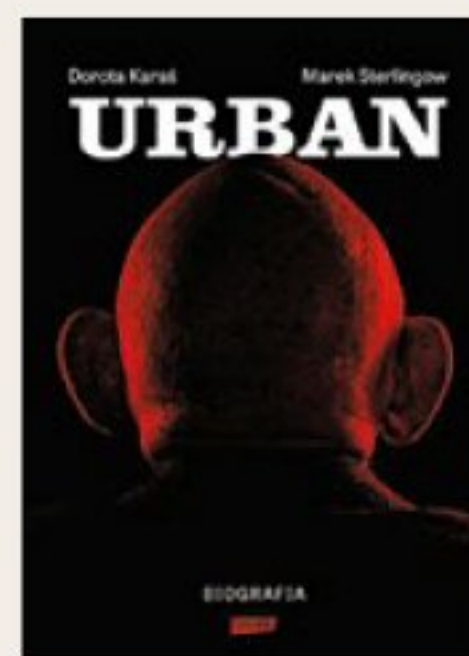
Dziennikarze »Polityki« i współpracownicy KOR-u tworzą przenikające się środowiska. Spotykają się w tych samych kawiarniach, śmieją z tych samych kabaretowych numerów, tak samo narzekają na cenzurę i coraz gorsze zaopatrzenie w sklepach. Hanna Krall poznaje lekarza Marka Edelmana, który podpisał się przeciwko zmianom w konstytucji. Wanda Falkowska spotyka się ze sprzyjającymi opozycji adwokatami, m.in. Janem Olszewskim. Doskonałe znajomości w środowisku KOR ma Kazimierz Koźniewski (który współpracuje też ze Służbą Bezpieczeństwa). Urban podejrzewa Fikusa o romans z pisarką Anką Kowalską. Z kolei Ankę Kowalską posądza o romans także z Rakowskim. KOR uważa za salonowe przedsięwzięcie”. W czym jednak się myli.

CZŁOWIEK WŁADZY

Na powstanie Solidarności reaguje niemal tak alergicznie jak na wybór papieża Polaka. Nawiasem mówiąc, „Polityka” wiadomość o wynikach tak radosnego dla narodu konklawe podała na trzeciej stronie, na pierwszej publikując reportaż Urbana z Czechosłowacji za temat mający naszą wzajemną, jakże owocną współpracę.

Po latach, w 2002 r., opublikuje artykuł „Obwoźne sado-maso”, nazywając Jana Pawła II „Breżniewem Watykanu”, „sędziwym bożkiem” i „gasnącym starcem”. Będzie go to kosztowało 20 tys. zł grzywny, a w imię gwałconej rzekomo w Polsce wolności słowa bronić będą Urbana Reporterzy bez Granic i Międzynarodowy Instytut Prasy z Wiednia.

Po śmierci Karola Wojtyły ogłasza z dumą: „Nie jestem w żałobie po papieżu. Razi mnie totalny atak triumfującego katolicyzmu. Mierzi obłuda wyrażana przez żałobnie wymodelowane minki prezydentek TV. Razi Lis, który łzawi, żłobiąc bruzdy na make-upie”. I tutaj trudno odmówić Urbanowi racji. Pamię-



DOROTA KARAŚ,
MAREK
STERLINGOW
„URBAN”
ZNAK 2023

tają może państwo łzy Moniki Olejnik po katastrofie w Smoleńsku? No właśnie.

Na razie mamy jednak czas Solidarności i Urbana z dnia na dzień coraz lepiej czującego się w roli człowieka władzy. W końcu zachęcony przez Rakowskiego wysmaża diagnozę polityczną w postaci długiego listu do nowego „Pierwszego” – Stanisława Kani. Ten zaprasza

go do siebie, podejmuje winę, sam się ubzdryngala. Jeszcze krok, a zostanie Urban rzecznikiem rządu.

Wcześniej jasno wskaże, jaką pozycję obecnie zajmuje. Posierpniowe emocje studzi w swoim stylu wulgarnym kawałem politycznym: „Polak, Anglik i Francuz rozmawiają o fizycznych zaletach kobiet swojej narodowości. Angielki są dorodne, Francuzki mają niewiarygodnie cienką kibić. Atrybutem Polek są pośladki.

– Gdy rano wychodzę do pracy, klepię żonę w dupę – zwierza się Polak. – Te drgania rozchodzą się, rozchodzą i rozchodzą tak, że kiedy z pracy wracam, to tyłek drży jeszcze. I to nie dlatego, że my, Polacy, mamy żony o tak grubych zadach, lecz dlatego, że dzień pracy jest teraz u nas taki krótki”.

Czytelnicy są oburzeni. Ludzie mówią: No pewnie, przedtem o wolnych sobotach ani się komu śniło, a w kopalniach i w niedziele zapędzano nas do roboty. Chcesz zarobić? Tyraj na okrągło. Niemcy ujmowali to jakoś podobnie: „Arbeit macht frei”.

Niebawem Urban w „Szpilkach” wydrukuje felieton o tym, że gdy jego żona przypina sobie znaczek Solidarności, to dostaje w ryj. Śmieszne? Tak sobie.

W styczniu 1981 r. demonstracyjnie występuje ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Nie podobają mu się poglądy kierownictwa SDP, a legitymacja stowarzyszenia w pisaniu mu ani nie pomaga, ani nie przeszkadza. Zresztą niebawem zostanie rzecznikiem rządu (17 sierpnia 1981 r.), ministrem, a potem mieć będzie swoje pismo, w którym wydrukuje, co zechce. Na razie, w trakcie wysoce emocjonalnej dyskusji na Foksal, po jego zapewnieniu, że nie jest przyjacielem Michnika, „siły antysocjalistycznej” – jak zwykł się on podówczas przedstawiać – słyszy: „Jurek, już nie

musisz się bać. Pamiętam, jak mi pomagał”. A wraz z nim słyszy pełna sala kolegów dziennikarzy, i nie tylko ich. Dla kogoś innego byłby to pocałunek śmierci. Po nim spływa.

INTELIGENTNY NAWET

Adam Michnik to praktycznie drugi bohater biografii Jerzego Urbana. Ze swoim najlepszym przyjacielem, Andrzejem Berkowiczem, znają go od dziecka. Według jego słów od małego zapowiadał się na wichrzyciela. A kim był Berkowicz, marcowy emigrant? Uchodził „za sierotę. Ojciec – przed wojną sekretarz Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy – uciekł do ZSRS tuż przed narodzinami syna w 1932 r. Tam zesłano go do łagru. Wkrótce przyszła informacja o jego śmierci. Matka zginęła w Auschwitz. Andrzeja po wojnie wychowywała jej siostra. Pomagali w tym dawni przyjaciele ojca, między innymi Ojciec Szechter (ojciec Adama Michnika) i Edward Ochab, który w 1956 roku na krótko zostaje pierwszym sekretarzem KC PZPR)”.

W istocie ojciec Berkowicza, Oskar, przeżył, wrócił do Polski po 23 latach spędzonych na Syberii i... zginął na warszawskim Nowym Świecie pod kołami ciężarówki. Trudno się dziwić synowi, że nie wierzył w wypadek. On sam w czerwcu 1968 r. otrzyma paszport w jedną stronę i wyjedzie do Szwecji. Dwukrotnie odwiedzi go tam jego polski przyjaciel – Urban. Będzie go nawet namawiał do powrotu, ale Berkowicz odmówi, choć na emigracji kariery nie zrobił.

W przeciwieństwie do Michnika znajomości z którym – czy wręcz zażyłości – nie musi już Urban ukrywać. Przeciwnie, zaczyna się nią afiszować.

Po tzw. komisji Rywina, przed którą obaj staną, Michnik będzie go chwalił „za opanowanie i poczucie humoru”.

– Szkoda, że moje konferencje prasowe w latach 80. tak ci się nie podobały – skwitował podobno Urban pochwały naczelnego „Wyborczej”. – Też mówiłem z sensem i było się z czego pośmiać.

No, do śmiechu to było wtedy tylko Urbanowi, o którym Michnik mówił wówczas dla BBC, że bardzo żałuje, iż zabrakło mu wyobraźni i po tekście „Seans nienawiści” nie pozwał go o szczucie do morderstwa: „Może bym dostał wyrok za obrazę ministra, ale

ksiądz Jerzy [Popiełuszko – przyp. K.M.] może by żył?” – pytał retorycznie. Ale co tam, w rodzinie też często się kłócimy, a potem całujemy, nieprawdaż? W końcu to, że napisał Michnik „Z dziejów honoru w Polsce”, przynależy do zupełnie innej epoki. A co tam napisał? Nic takiego, ot m.in. podziękował Urbanowi, że „swoimi publikacjami unaoczniał nam, do jakiego paskudztwa może dojść inteligentny nawet człowiek”.

A jak to było z sejmową komisją śledczą w sprawie Lwa Rywina? Jednym głosem domagały się jej – w co trudno dzisiaj uwierzyć – Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość. A „biedny” Rywin mówił tylko, a może aż: „To była rozmowa negocjacyjna i biznesowa. Miałem objąć Polsat, chciałem sprzedać Agorze moją firmę Hermitage Films. Więcej komentować nie będę”. W końcu sąd skazał go na dwa lata więzienia, z czego odsiedział połowę. Ale Michnik, który nagrał korupcyjną propozycję Rywina, też nie został bohaterem, Urban również. A rządząca postkomuna już się nie podniesie, choć Włodzimierz Czarzasty nakładać będzie coraz to nowe sweterki.

Cała sprawa ujrzała światło dzienne bardzo późno, gdy już mleko dawno się rozlało. „We wrześniu 2002 roku – czytamy – »Wprost« w satyrycznej rubryce »Z życia koalicji/opozycji« opisuje propozycję Rywina w prześmiewczy sposób, ale z nazwiskami i nie myląc faktów. Reaguje na to Monika Olejnik. W swoim programie w TVN pyta o sprawę ministra sprawiedliwości. Ten udaje, że nie wie, o co chodzi, ale obiecuje, że przeczyta »Wprost«. Wzięta niegdyś publicystka Janina Paradowska z »Polityki« [ta od „Tusku, musisz!” – przyp. K.M.] podczas wywiadu z premierem zadaje pytanie o artykuł. Miller ucieka w ogólniki. Dziennikarka wysyła wywiad do autoryzacji, a następnego dnia odbiera telefon od Michnika. Szef »Wyborczej« przekonuje, że sprawa Rywina powinna zostać w tajemnicy, dopóki jego gazeta nie opublikuje swojego śledztwa w tej sprawie. Doświadczona publicystka ulega i wycofuje ten wątek z wywiadu”. No bo skoro sam Adaś ją prosił...

CUDOWNY PTAK

W powszechnej opinii to Urban przyłożył rękę uzbrojoną w pióro do zabójstwa

ks. Jerzego Popiełuszki. Ale nie tylko szczał, wypisując brednie o „czarnych mszach” na Żoliborzu, do których (znów!) Michnik służy i ogonem dzwoni, nie tylko nazywał przyszłego błogosławionego i męczennika Savonarolą antykomunizmu, fanatykiem i magikiem, organizatorem sesji politycznej wścieklizny, lecz także uwiarygadnia esbeckie fałszywki na konferencjach prasowych, które urządza co tydzień jako rzecznik rządu.

W żałosny sposób będzie usprawiedliwiał inne swoje kłamstwa – na temat okoliczności śmierci Grzegorza Przemyka: „Kryjąc kłamstwa Kiszczaka, reagowałem na tezę ówczesnej opozycji, która rozpowiadała, że chłopaka zabito, bo był synem opozycyjnej poetki. To było kłamstwo”. Kłamstwo kłamstwu nierówne. Przemyka zamordowano, a Urban gorliwie pomagał upowszechnić wersję chroniącą milicjantów, faktycznych sprawców mordy, a pod pręgierzem stawiającą pielęgniarzy i lekarzę pogotowia ratunkowego.

Oburzano się na kłamstwa Urbana, z drugiej jednak strony jego konferencje dla jednych miały walor informacyjny, bo choć ten rzecznik rządu owijał fakty swoimi komentarzami, to jednak je podawał, inni zaś oglądali telewizyjne skróty tych spędów żurnalistów jak spektakle mające walor i dramatyczny, i komediowy. Dziennikarze zachodni nie tylko to doceniali – wręcz przeceniali. Szwedzki „Arbeiderbladet” opisał Urbana jako „cudownego ptaka w ogrodzie zoologicznym realnego socjalizmu”, „Washington Post” nazywał jedynym aparaczką z bloku wschodniego, który walczy (!) o swobodny przepływ informacji. I tylko Brytyjczyk Gary Mead w „The New Statesman” przytomnie zauważył, że „gdyby dziennikarze oprzytomnieli i zbojkotowali konferencje, nic by nie stracili. Cierpiąłby jedynie Urban pozbawiony widowni”.

Nagłaśniał swoje pomysły, a tych nigdy mu nie brakowało. Tak było np. z akcją przekazania śpiworów dla bezdomnych w Nowym Jorku, do czego oczywiście nie doszło – ale o sprawie pisano na całym świecie.

Chcąc uwiarygodnić propagandowy przekaz władzy, poprosił grupę psychologów, by wskazali na to, co należy w nim poprawić czy zmienić. Dowiedział się m.in., że „młodzież fatalnie reaguje

■ na stan wojenny. Zamknięcie dyskotek było błędem”. No jasne, młodzieży tylko dyskotek było trzeba. Ale jeśli ktoś myśli, że nagły boom muzyki rockowej nad Wisłą był zjawiskiem spontanicznym, to jest bardzo naiwny. W każdym razie z dnia na dzień pojawiły się koncerty Maanam czy TSA – w Jaruzelskiej telewizji! Ale też wraz z upływem czasu coraz wyraźniej Urban zdawał sobie sprawę, „że ludzie nie wierzą oficjalnym komunikatom. Po dekadach cenzury i sterowania informacją wiarygodność rządu jest zerowa. Sam rzecznik uchodzi za tubę propagandową, nie za rzetelne źródło informacji. Cały kapitał wiarygodności, który zgromadził jako dziennikarz, przetrwonął w ciągu pięciu lat służby u Jaruzelskiego”.

Nie wszystkie jednak odautorskie uwagi twórców Urbanowej biografii są podobnie zgodne z prawdą. Znamienny jest pod tym względem fragment odnoszący się do czasów sprawowania władzy w Polsce przez ekipę ówczesnego i obecnego Prezesa Rady Ministrów: „Rządy Tuska podobają się Urbanowi. Premier nie chce rozliczeń z przeszłością, zależy mu na integracji Polski z Unią Europejską. Większość Polaków jest zadowolona z polityki »cieplej wody w kranie«. Do kraju płynie też szeroki strumień unijnych pieniędzy, budowane są autostrady i drogi, powstają nowe boiska i stadiony. Rozwija się gospodarka i eksport, maleje bezrobocie [sic! – przyp. K.M.]”.

Natomiast rozdział poświęcony wymierzonej w „kochających inaczej” akcji „Hiacynt” kończy komentarz zaświadcujący, że autorzy książki są po linii i na bazie: „Żaden z przedstawicieli rządu Wojciecha Jaruzelskiego – ani on sam – nie przeprosił nigdy za represje wobec osób homoseksualnych”. Wolnomyśliciel Urban też nie przeprosił, on nawet o tej akcji nie słyszał. A przeproszać w ogóle nie lubił. Zasromił się jedynie, gdy jakiś jego redaktor w „Nie” pomylił jedną spółkę pani Bochniarz z drugą. Pismaka pogonił won i samokrytycznie przyznał, że ch.j z niego, nie redaktor.

TYLE LAT PIJEMY...

Dariusz Fikus, z którym znali się – rzec można – niemal od zawsze, miał nazwać go „przypadkiem do

drażnienia”. Rzeczywiście, drażnił niemal wszystkich, Fikusa też. Sam pamiętam z „Rzepy”, że gdy jako naczelny tej gazety przeanalizował prenumeratę pracowników i okazało się, że niemal każdy zamawiał „Nie”, wydał natychmiastowy zakaz, uważając nie bez racji, że nie ma powodów, by jego firma dofinansowywała Urbanowe przedsięwzięcie. Wkrótce zresztą cały ten bonus wywodzący się z poprzedniego systemu przestał istnieć i prasę każdy redaktor kupował sobie, jaką chciał. I sam za nią płacił. A „Nie” czytelników miało całe rzesze, osiągając w najlepszym czasie 700 tys. egzemplarzy nakładu.

A jeśli chodzi o stosunki Urbana z Fikusem, to należy pamiętać o ich ojcach, przedwojennych redaktorach. To Feliks Fikus z „Kuriera Poznańskiego” zarzucił Janowi Urbachowi (zmienił później nazwisko na Urban) z łódzkiego „Głosu Porannego” agenturalne kontakty z sowiecką ambasadą. „Dowodem – czytamy – ma być zdjęcie redaktora »Głosu«, wychodzącego z poselstwa radzieckiego, w Warszawie z pakunkiem w ręku. Urbach wytacza Fikusowi proces o zniesławienie i wygrywa. Jak twierdzi, w pakunku miał nowości wydawnicze, które »Głos« drukował w dodatku literackim”.

W „Polityce”, w której skrzyżowały się drogi zawodowe ich synów, Dariusz Fikus był sekretarzem redakcji, a Jerzy Urban kierownikiem działu krajowego. Następnie ich drogi całkowicie się rozeszły, a gdy w stanie wojennym Urban pojedzie do Fikusów z informacją, by Darek się nie ukrywał, gdyż skreślony został z listy osób do internowania, Magdalena, żona Dariusza, zatrząskuje mu drzwi przed nosem i obiecuje sobie, że nigdy już nie poda mu ręki. I nie rzuciła słów na wiatr.

Jeśli zaś chodzi o panów redaktorów, to dowiadujemy się, że „Jerzy Urban godzi się z Dariuszem Fikusem przed jego niespodziewaną śmiercią w 1996 roku. Były kolega z »Polityki« i redaktor naczelny »Rzeczpospolitej« jest częstym gościem Urbana w Konstancinie. Po jednej ze wspólnych libacji Fikus o mało nie tonie w basenie. Po oprzytomnieniu oznajmia Urbanowi:

– Popatrz, Jurek, tyle lat pijemy i nadal nie jesteście alkoholikami.

Ostatni raz Fikus straci przytomność w pokoju hotelowym na urlopie w Kaziemierzu Dolnym”. Ot, przyjemny rozdziałik.

Takich równie miłych rozdziałów znajdziemy w tej biografii Urbana więcej. Uproszczeniem i nieprawdą byłoby powiedzieć, że ją podyktował, ale nutę podawał.

Jego oceny i przepowiednie rzadko się sprawdzały. O Leopoldzie Tyrmandzie np., który ośmielił się w paryskiej „Kulturze” przejechać po „Polityce”, wyśmiewając przy okazji grzywkę jej szefa, napisał: „Jako pisarz sięgnął dna, ale ciągle się odeń odbijał. Jego książki miały kolosalną poczytność, jak każda zawiesina między grafomanią a literaturą, jeśli tylko nie ma innych ambicji jak zabawianie publiczności”. Niezwykle wnikliwie. Wywróżył też, że pisarz, „nim umrze, będzie tu zapomniany”. Nieco się pomylił.

Wypisywał brednie. „Zdaniem Urbana – czytamy – Marek Nowakowski lansowany jest na Zachodzie, choć jako literat jest miernotą, a Czesław Bielecki – dodaje – został ogłoszony wybitnym architektem tylko dlatego, że poszedł siedzieć”. Zwróćmy uwagę na tę konstrukcję językową: „poszedł siedzieć”. Nie „uwięziono”, lecz „poszedł”, no „pomaszzerował, lewa, prawa, w siną dal”...

Jako postać literacka Jerzy Tyran stał się bohaterem beznadziejnej książki „Umierający i zmartwychwstał”, podpisanej pseudonimem Aleksander Dalcz, a wydanej przez podziemny Azyl w 1985 r. Ciekawe, że o jej autorstwo podejrzewany był m.in. Marcin Wolski. Naprawdę napisał ją Andrzej Krzepakowski, działacz Solidarności z Ursusa.

Jako Bezetznego uwiecznił go Jerzy Pilch w niedocenionej swego czasu powieści „Marsz Polonia”. Odgryzł się, że Pilch gościł u niego w Konstancinie w okresie abstynencji, a więc nie był sobą. Za to taki Grzegorz Ciechowski pluskał się w jego basenie.

Każdego jednak kupić nie można, nawet jak się zostało milionerem [majątek Urbana w 2004 r. szacowano na 120 mln zł, a on sam znalazł się na jednym z końcowych miejsc 100-osobowej listy najbogatszych Polaków – przyp. K.M.]. Gdy po przeczytaniu „Wojny polskiej pod flagą biało-czerwoną” przyniósł młodzież-

kiej pisarce kosz kwiatów wraz z propozycją pisania do „Nie”, ta odmówiła.

WIELKI JĘZOR

Powiedziałbym, że najcenniejsze w Urbanowej biografii jest to, że wreszcie nie powieli kolportowanych przez niego bzdur, jakoby w wolnej Polsce dorobił się na sprzedaży spirytusu. Owszem, próbował handlować alkoholem, ale ani piwo, ani wódka nie uczyniły z niego milionera. Stał się nim po części dzięki „Złotej Rybce”, czyli wywodzącemu się z komunistycznych kręgów, konkretnie z OPZZ, wydawcy Romanowi Górskiemu, który wydał mu „Alfabet Urbana”, płacąc do ręki 120 tys. dol. Na następnych książkach tego rodzaju, którymi były „Alfabet 2” i „Jajakobyły”, też zarobił nie najgorzej.

Drugie konkretne pieniądze dostał od Rakowskiego z tzw. moskiewskiej pożyczki, puli – można powiedzieć – przywłaszczonej po upadku PZPR. Te forsy Urban miał oddać, a z czystej wdzięczności, bo przecież człowiek był szlachetny nad wyraz, finansował jego kaprys w postaci nieczytanego przez nikogo miesięcznika „Dziś”, a nawet dał pieniądze na operację w Niemczech, gdy jego były pryncypał zachorzał.

Wreszcie, kiedy wpadł na pomysł wydawania swojego pisma, spadł mu z nieba Mariusz Świtalski i przez trzy miesiące współfinansował „Nie”. A dlaczego przestał, choć tytuł osiągnął wielki sukces finansowy? Rzekomo ze względu na specyficzną, dwuznaczną aurę wokół tygodnika. „Chcecie, to wierzcie, chcecie, nie wierzcie” – jak to śpiewano w czasach, gdy Jurkowi Urbanowi w ZMP marzyła się kariera politycznego działacza.

Ale w polityce mu nie szło. W wyborach w roku 1989 sromotnie przegrał z Andrzejem Łapickim, choć jego redakcyjny kolega Passent anonsował ten pojedynek jako starcie urody [znany aktor miał wtedy 65 lat – przyp. K.M.] z rozumem [niby z 56-letnim mądrym Urbanem – przyp. K.M.]. Walory intelektu byłego rzecznika rządu doceniono tylko w Ułan Bator, bo jedynie w tamtejszej ambasadzie Urban wygrał [do głosów okręgu Warszawa-Śródmieście dołączały wyniki głosowań z placówek dyplomatycznych i polskich przedsiębiorstw pracujących za granicą – przyp. K.M.].

Andrzej Łapicki został posłem, a Urban zraził się do wyborów tak bardzo, że w 1993 r., gdy Sojusz Lewicy Demokratycznej Aleksandra Kwaśniewskiego zaproponował mu start w Bydgoszczy, gdzie partia miała wysokie notowania, odmówił, tłumacząc, że jego nazwisko mogłoby zaszkodzić SLD. A był członkiem SdRP od dnia, kiedy ta powstała na gruzach PZPR.

Postkomuchy wygrały wybory, a zdjęcie Urbana z wywalonym jęzorem i wielką butlą szampana pod pachą obiegło wszystkie media. Faktycznie, nie biorąc udziału w polityce polskiej, będzie dbał o to, by – dopóty, dopóki to możliwe – miała ona jego twarz.

Na przykład na początku 2013 r., po procesie wytoczonym autorom stanu wojennego (Jaruzelski był wyłączony ze względu na stan zdrowia), dał wyraz swemu oburzeniu, wyrok skazujący nazywając idiotyzmem, a jego uzasadnienie bzdurnym. Wyrok istotnie budził wątpliwości, ale może z innych powodów: Czesław Kiszczak skazany został na dwa lata w zawieszeniu.

W każdym razie w felietonie „Do broni!” pisał wtedy Urban: „W 2012 r. sąd warszawski wie i orzeka, że w 1981 r. nie groziła Polsce radziecka interwencja. Jutro orzeknie, że Łokietek jest winien II wojny, bo gdyby nie zjednoczył Polski, nie miałyby ona sporów o terytoria z Niemcami”. Jego zdaniem stan wojenny był dla Polski zbawienny, a gen. Jaruzelski, wraz z Rakowskim, nim samym, no i niech będzie, że z Kiszczakiem także, robili wszystko, by naród przeżył ten ciężki czas sprokurowany przez straszną opozycję wspomaganą przez samego Ronalda Reagana. A że rząd dbał i o to, by samemu się wyżywić – co swego czasu mu się wymysknęło – to chyba naturalne? Ktoś z innej bajki, a może i tej samej, wzniosł przecież toast: „Zdrowie wasze w gardło nasze”.

ZWYKŁA ŻENADA

Na finiszu życia zaistniał w Internecie, w gruncie rzeczy jako mem. W głupawych, obrazoburczych filmikach, zawsze antykościelnych, wchodzących w cztery litery najbardziej prymitywnym odbiorcom. We wrześniu 2019 r. na „Urban Party” w klubie na Polu Mokotowskim młodzi ludzie w większości przekonują

się ze zdziwieniem, że ktoś taki jak Urban w ogóle istnieje. I jeszcze żyje.

Tygodnik sprzedaje się coraz gorzej, jak zresztą cała prasa. Ostatnie wywiady robione z nim przez „Gazetę Wyborczą” oburzają nawet co bardziej zasłużonych redaktorów z ulicy Czerskiej. Młodzi nie bardzo wiedzą, kim jest śmieszny starsuszek z odstającymi uszami. A jeszcze, zdawałoby się nie tak dawno, podsuwał czytelnikom fałszywą lojalną Jarosława Kaczyńskiego, pragnąc zdyskredytować znienawidzonego polityka (po wyborach w 2015 r. napisał: „Z całego serca życzę Kaczyńskiemu, jego partii i jej sojusznikom, żeby ich szlag trafił”). To znów dopominał się o prawo do miłości dla córki prawicowego wicemarszałka Sejmu Kerna, doprowadzając do tego, by skreślono jeden z bardziej zakłamanych filmów, jakim było „Uprowadzenie Agaty” Marka Piwowskiego. Sam Urban wystąpił triumfalnie na weselu „uprowadzonej” – naprawdę nie Agaty, lecz Moniki – jako gość honorowy. Pół roku później marszałkówna wniosła sprawę o rozwód, twierdząc, że została zmanipulowana.

A to nagłośni sprawę rzekomej hrabianki Anastazji P., chcąc „erotycznymi ekscesami” skompromitować polityków i z prawa, i z lewa (ale z prawa, oczywiście, bardziej), by zaraz firmować seksualne „zawody” prostytutek prześcigających się w ilości seksualnych partnerów. Wszystko to staje się coraz bardziej żenujące, ale taki też nastaje klimat nad Wisłą.

Ostatni wpis na swoim „Blogu wszystkich świętych”, zamieszczanym w „Nie” i w Onecie, publikuje w grudniu 2021 r. Wcześniej, po swoich 80. urodzinach, napisze w nim: „Dostałem wiele prezentów. Zespół »Nie« zamówił trzy futerały ze skóry i safianu haftowanego srebrem, a w nich żydowskie instrumenty modlitewne. Katolik może iść do kościoła jak stoi, Żyd musi mieć myckę, tałas (duża szmata) i jakieś klocki na rzemykach. Umiąłem z tego włożyć tylko myckę. I tak sobie myślałem, czy w redakcji »Nie« za dużo aby nie zarabiają, więc nie mają już na co wydać, jak na przypomnienie mi, że jestem parchem”.

Wbrew obiegowej opinii uważam, że to ostatnie określenie nie odnosi się wcale ani do narodowości, ani do wyznania. Parch to charakter.